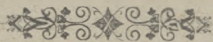


# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Pastuszka rogata.

## PASTUSZKA ROGATA.

Osobliwsze uzbrojenie tego ptaka nadaje mu pozor groźny i wojowniczy. Pastuszka ma, jak widzicie, długi, sterczący róg na głowie, a u każdego skrzydła po dwa ostre kolce, przytém i głos jój jest przeraźliwy tak, że zdaleka bywa słyszany i prawie przerażającym się wydaje. A jednak ptak ten, blisko spokrewniony z naszym dropiem,

jest spokojnego i łagodnego usposobienia, i tylko broniąc się od napaści używa swojego wojennego rynsztunku. Ojczyzną pastuszki jest środkowa Brazylia, a także Gujana i Kolumbia. Dziwna nazwa ztąd pochodzi, że ptak, dający się łatwo oswajać, używany bywa do pilnowania drobiu domowego i podobno bardzo roztropnie się ze swego zadania wywiązuje. Nie szczędzi wówczas ostrego rogu i koleców dla odstraszenia drapieżnych



łasic i różnych napastników, a nawet i psów, które go starannie omijają. Gatunek rogaty, na rycinie przedstawiony, w języku miejscowym nazywa się *anhima*. Inny, pospolitszy, zwany *czaja*, ma czub na głowie w miejscu rogu i częścią jeszcze pełni obowiązki pastuszki przy drobiu domowym. Ptaki te po to jedynie utrzymywane są w gospodarstwach brazylijskich; mięso ich jest niesmaczne, chociaż żywią się wyłącznie ziarnem i roślinnymi pokarmami. Upierzenie pastuszki rogatej jest dość ozdobne, na grzbiecie, piersiach i ogonie ciemno-brunatne, na skrzydłach zielone z odbłysem metalicznym. Oczy ma pomarańczowe, wierzch głowy jasno szary, jedwabisty, róg także szary, jakby stalowy. Wzrostem ptak wyrównywa indykowi.

## DŹWIĘKI OJCZYSTEJ PIEŚNI.

Gawęda o Franciszku Karpińskim,  
przez Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Z tych czasów właśnie opowiadają charakterystyczne zdarzenie, przedstawiające stosunek młodego Karpińskiego do ojca, wiek w którym żył, a zarazem i charakter poety. Kiedy po powrocie Franciszka wszyscy wieszali ojcu takiego syna, stary, chcąc się przekonać, czy nauki nie przewróciły mu w głowie, a w sercu pozostawiły cześć i poszanowanie dla rodzica, jednego poranku wprost go o to zapytał. Syn z całą pokorą upewniał, że nigdy nie zapomni, co winien ojcu. Nie dowierając jednak temu stary, przeszedłszy się parę razy po pokoju, spojrzał bystro w oczy Franciszkowi i wymierzył mu policzek.

— Jakto policzek? uderzył go, a to za co, mój wuju?

— Cóż to za okrutne postępowanie! — rzekł oburzony Janek z zaiskrzonymi oczyma.

— Ależ, mój wuju — wołała Małgosia — czyż podobna, żeby ojciec bił syna po twarzy!

— To odezwanie się wasze, moje dzieci kochane, doskonale maluje wiek, w którym żyjemy. Dziś nie mamy nawet pojęcia o tej surowości, z jaką dawniej dzieci wychowywano, a zarazem i o poszanowaniu, z jakim dzieci były dla rodziców. Nie chwalebę ja tej zbytnej surowości. Czy to było źle, czy dobrze, duży o tym mówić. Na inny to raz odłożmy, a dziś powiem wam tylko, że dawniej syn dorosły nie śmiał nawet usiąść w obecności ojca, nie śmiał zdania niepytany objawić. Zachowanie tej czci dla rodziców i starszych

dawało w owym czasie najlepszą miarę charakteru młodzieży. Wymierzeniem owego policzka ojciec Karpińskiego chciał się przekonać o usposobieniu syna względem siebie. I rzeczywiście się przekonał, że syn, który już ukończył kursa filozoficznego, z dawniejszą pokorą zniósł niezasłużoną karę. To też widząc korzącego się, lecz nie sarkającego syna, serdecznie go uściskał, dodając: „Doświadczyłeś tylko chciałem; będziesz dobrym obywatelem, gdyś nie zapomniał synowskiej pokory”. Ten ojciec, na pozor tak surowy, kochał jednak serdecznie syna, a umierając, jako spuściznę zostawił mu te słowa wyrzeczone do córki: „Powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świat”.

— To bardzo ładne błogosławieństwo i przestroga — przerwała Małgosia.

— Zapewne, moja dziewczeczko, a nasz poeta pilnie się tych słów trzymał, brzydząc się kłamstwem i pochlebstwem. Szedł we wszystkiem za wolą ojca. Za jego jeszcze życia, po ukończeniu szkół, pozostawał czas jakiś we Lwowie, kształć się na prawnika. Przekonawszy się jednak, że zawód ten wcale nie licował z usposobieniem jego, po jakimś czasie próby pojechał do Wiednia, gdzie kształcił się jeszcze przez dwa lata. Było to właśnie r. 1768, to jest podczas Konfederacji Barskiej, o której wiecie zapewne. Powrócił dopiero po pierwszym rozbiórce kraju, gdy Galicya przeszła już pod panowanie Austrii. Karpiński słysząc, że całe umysłowe życie skupia się w Warszawie, a książe Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, daje opiekę wielu uczonym, udał się do niego. Wkrótce otrzymał na jego dworze posadę i został przedstawionym królowi Stanisławowi Augustowi. Karpiński znanym był już wtedy ze swoich wierszy; król zaś, jako miłośnik nauk i poezji, mile powitał naszego poetę, zapraszając go na obiady Czwartkowe, które na jego dworze bywały.

Lecz Karpiński, będąc ubogim, oprócz miłych słówek, pragnął jeszcze jakiego korzystnego miejsca przy królu, któreby mu dawało utrzymanie, przy stałym zajęciu. Tego jednakże nietylko nie otrzymał, lecz nawet poróżniwszy się z księciem Czartoryskim, i to co miał na jego dworze utracił. Został potem wezwany na nauczyciela do młodego księcia Romana Sanguszki, syna wojewody wołyńskiego; lecz zawód nauczycielski nie odpowiadał widokom poety.

Chciał on być swobodnym, aby pisać według upodobania, a tutaj trzeba było czas swój uczniowi poświęcać. Porzucił więc to zajęcie i powrócił na Pokucie, na wieś, żywiąc żal do świata, że nie umiał dość jego talentu ocenić i nie dał mu dostatków, wśród których byłby mógł ten talent



rozwijać. Żal ten wypowiedział w wierszu, który umiem na pamięć, a więc powiem wam piękniejszą z niego ustępy:

Otóż mój dom ubogi! téż lepiące ściany,  
Téż okna różnofarbne, piec niepolewany,  
I niska strzecha moja!... Wszystko tak jak było,  
Tylko się ku starości więcéj pochyliło!  
Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,  
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa;  
Z swój obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,  
Z domu napój, i wierną przy boku drużynę.  
Obym ja był tak dawniej myślił, oszukany!  
I w ukrytym gdzie kącie żył raczéj nieznany:  
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,  
I tylko mnie sąsiadem dobrym nazywano!  
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,  
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku.

Com zyskał? że rzuciwszy ubogie zagrody,  
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?  
I widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,  
Jam sobie myślił: „Oni płynąć nie umieli”.

Com zyskał, na wysokie pańskie pnąc się progi!  
Gdzie po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,  
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,  
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.

Kiedy mnie ojciec stary zegnał przy swym zgonie:  
„Idź, mówił, synu na świat; w jakiej będziesz stronie,  
Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci:  
Zostawiam cię ubogim, prawda cię z bogaci”.  
Słuchałem cię, ojczu mój, goszcząc między pany;  
Takem pisał, lub mówił, jak był przekonany.  
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,  
A jeślim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.  
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?  
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.  
Nie przeto, święta cnoto, porzucić cię trzeba,  
Że wieku dzisiejszego nie dajesz nam chleba;  
Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec;  
Bo i z prawdą jest pięknie, i tak kazał ociec.  
Trzeba wyznać, jak było, że mi coś dawano,  
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,  
Żebym wieczny niewolnik nosił jarzmo czyje;  
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;  
A wreszcie mi nadzieję szafowano szczerze.  
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.  
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotej chciał mieć szacie,  
Żeby oczy pospółstwo obracało na cię?  
Żebym słynał majątkiem? drugimi pomiatał?  
Nie o tom ja pod drzwiami Fortuny kołatał.  
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,  
Gdziebym jadł, nie z wymysłem, ale wstał niegłodny;  
Gdziebym się nieusuwał nikomu do zgonu,  
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;

Spokojnym będąc na tém, co stan mierny niesie,  
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.

— Ach, jaki to ładny wiersz — rzekła Małgosia, wsłuchując się z pewnym zapałem, właściwym jej młodocianemu wiekowi.

— Ładny? — powtórzył Janek. — Mnie się podobą początek, ale potém, kiedy poeta zaczyna narzekać, że nie zyskał dużo pieniędzy, to mi się już mniej podoba. Bo przecież poeta nie dla tego pisze, żeby mu za to płacili.

— Masz słuszość, mój chłopcze. Prawdziwy poeta dla tego pisze, że to się stało potrzebą jego serca, że myśl swą koniecznie potrzebuje wypowiedzieć i wyśpiewać; on śpiewa, jako ptak w lesie, niebacząc, czy go kto słucha, lub czy śpiew jego komu się podoba. Nie potępiaj jednak Karpińskiego: miał on poniekąd żal, że prawdą szedł na świecie, nie potakując nikomu, a ta prawda nie wszystkim się podobała i mimo wielu przyjaciół, nie jednemu mu sercu wszystkich na dworze królewskim.

Król, jakby czując w tych wierszach wyrzut dla siebie, powołał poetę do Warszawy, i znów poleciał go, jako nauczyciela, księciu Radziwiłłowi. Po roku, mimo bardzo korzystnego wynagrodzenia, Karpiński opuścił to miejsce, otrzymawszy w dzierżawę Kraśnik, dobra rządowe w powiecie Prużańskim i osiadł już stale na wsi. Na pustkach w bliskości Kraśnika założył osadę, zwaną Karpinem, gdzie poświęcił się zupełnie pracy nad ludem, zakładając dla niego szkoły, w których sam najczęściej był nauczycielem. Prócz tego pracował dla rodziny swojej siostry; sam bowiem nigdy się nie ożenił i nie miał, jak mawiał, własnego gniazda.

Wśród téj cichej pracy na ojczystym zagonie, dorobiwszy się nawet grosza tak, że kupił sobie w sąsiedztwie Kraśnika wieś Chorowszczyznę, w niej już zamieszkał i w r. 1825 w sędziwym wieku życia dokonał. Pochowany zaś w miasteczku Łyskowie, dawném województwie nowogrodzkiem. Na nagrobku kazał sobie wypisać: „*Otóż mój dom ubogi*” to jest wyrazy, rozpoczynające sielankę, którą przed chwilą wam wypowiedziałem.

— A czy wuj nie umie jeszcze jakich wierszy Karpińskiego? — prosiła Małgosia.

— No i patrzcież państwo, jak widzę, ta dzieciny czyni ze mnie jakiegoś spóźnionego barda, wyśpiewującego utwory sentymentalnego poety. Ale niech i tak będzie, z przyjemnością powiem jeszcze jaki wiersz Karpińskiego, tém więcéj, że właśnie przyszedł mi na myśl, jakby dla was napisany p. t. Brat i Siostra.

\*) Powiat Prużański w gub. Grodzieńskiej. W powiecie tym jest puszcza Białowieża.



Koryl swój siostrze przyniósł ptaszynę;  
 „Oto, powiada, całą godzinę  
 Czekałem na nią, kiedy przyleci  
 Pożywić swoje zgłodniałe dzieci,  
 Które gdy od niej swój pokarm brały,  
 Przykryłem ręką z matką ród cały.  
 Taka jest, jakie lubisz ptaszęta;  
 Piórka zielone, drobne oczęta,  
 Wiele piękności, a mało ciała.  
 Słyszałem nawet, kiedy śpiewała,  
 Blizko jęj gniazda pasący trzodę.  
 Dzieci nie brałem, bo jeszcze młode.”  
 „Miła mi zawsze, rzekła Temira,  
 Dla mój przysługi, twoja chęć szczerą,  
 Ale coś zrobił, dobry Korylu!  
 Wydarłeś matkę sierotom tyłu!  
 Próżno powrotu jęj będą czekać,  
 Litosnym piskiem na cię narzekać,  
 Aż przyjdą na nie głody z tęsknotą,  
 I tych niewinnych ofiar dogniotą.  
 Ty to pamiętasz, gdy się nam była  
 Matka na jakiś czas oddaliła;  
 Chociaż mieliśmy w domu wygody,  
 A nie czuć było nie można szkody.  
 Wolno tę biedną puśćmy ptaszynę,  
 Tém pocieszymy smutną rodzinę!  
 Uczynimy dobrze, podług możności,  
 Na co i ptaszkom robić przykrości!”  
 A Koryl na to: „Temiro miła!  
 Nie myśl, żebyś mnie tém zasmuciła,  
 Że ci ten mały dar nie smakuje,  
 Więcej ztąd twoje serce szacuję.  
 Puszczam ptaszynę!... Jeszcze prócz tego  
 Przy jęj gniazdeczku ziarna różnego  
 Nasypię, codzieln przyniosę wody,  
 By łatwiej mogła żywić pług młody.  
 Żem jęj do smutku podał przyczynę,  
 Tém się nagrodzi!... Puszczam ptaszynę!  
 Jak się tam drobne pocieszą dziatki!  
 O! bo to prawda, że źle bez matki!”

— Myśl jest bardzo ładna w tym wierszu —  
 rzekł Janek — ale tak czasami trzeba się wsłu-  
 chywać, ażeby ją zrozumieć. Tak jakoś nie zawsze  
 jasno wypowiedziana.

— A to mi dopiéro z waszecia krytyk — za-  
 wołał wuj uradowany. — Ale niema co, trafnie  
 krytykujesz, mój chłopcze. Rzeczywiście, Karpiń-  
 ski nie zawsze jasno wypowiadał swe myśli; często  
 nawet omówieniami psuł ich prostotę. Było to  
 nie tylko jego wadą, ale wszystkich owczesnych pi-  
 szących, którzy kształcąc się na wzorach fran-  
 cuzkich, nie zawsze umieli wykazać piękności na-  
 szego języka. Tylko w religijnych swoich pie-

śniach Karpiński zachował całą prostotę, i dla  
 tego też one tak trafiają do serca.

(D. n.).

## NA ZŁOŚĆ.

Powiatka prawdziwa, napisana umyślnie dla starszych  
 braciszków, aby wiedzieli, jacy to braciszkwowie bywają  
 na świecie.

— Niuniu, słuchaj! ja z Toniem i Minią wyjdę  
 teraz przejść się po świeżem powietrzu w aleje.  
 Dla ciebie jest za zimno, więc ty w domu zosta-  
 niesz przy bracie Stasiu. Tylko proszę mi grze-  
 czną być, starszego brata słuchać, bo on jest do-  
 rosły, rozumny człowiek, o dwadzieścia lat starszy  
 od ciebie. I nie przeszkadzać mu, proszę, bo on  
 pracować będzie pewno a nawet widzę oto, że już  
 pisze teraz; więc pracę jego szanować trzeba i nie  
 pytać go i nie prosić o nic, chybaś czego konie-  
 cznie potrzebowała. Rozumiesz?

— Rozumiem, proszę mamy.

— To dobrze; teraz patrz! masz tu dwa tale-  
 rzyki: na jednym jest podwieczorek dla ciebie, na  
 drugim dla lalki, a tu w garnuszku dla krako-  
 wiaka.

— Na którym dla mnie? a dla lalki na którym?

— No, ten mniejszy dla lalki, chociaż wszystko  
 to jedno, bo ty przecież za nich zjesz w końcu...

— No tak... ale zawsze muszę wiedzieć prze-  
 cież...

— Prawda i to; więc jak się już dobrze  
 zmierzchnie i Staś zapali świece, wtedy podwie-  
 czorek swój zjesz, a przed podwieczorkiem i po  
 podwieczorku będziesz się cicho bawić tak, jak to  
 przy mnie umiesz.

— Będę kłaby z zabawek na podłodze usta-  
 wiał!

— Bardzo dobrze; a jeżeliby ci się spać za-  
 chciało, to się nie kładź w ubraniu, tylko Józefo-  
 wój zawołaj, rozbierz się i śpij w łóżku porządnie.  
 Na mnie nie czekaj, bo może nam do państwa Ba-  
 gińskich wstąpić wypadnie, ale zawsze na herbatę  
 wrócę i jeszcze się dziś ze sobą zobaczymy zape-  
 wne. Czy będzie wszystko tak, jak mama każe?

— Będzie; tylko jeżeli spać będę szła, to Józe-  
 fowój nie zawołam, bo się bez niej obejdę; czy to  
 ja chłopak, żebym rozebrać się nie potrafiła i łóż-  
 ka sobie posłać.

— Tém lepij: więc do widzenia.

— Do widzenia — i poszła mama do kuchni.

— Józefowa niech z robotą w stołowym poko-  
 ju siądzie i uważa, czy kto dzwonić nie będzie i na  
 Niunię niech uważa.

— Dobrze, proszę pani, tylko wprzód do tych



tu państwa naprzeciwno polecę po lamentacyjną książkę moję.

— Legitymacyjną, a nie lamentacyjną. Że też wy wiecznie interesa gdzieś jakieś macie. Idźcież a wracajcie prędko.

I poszli wszyscy, kuchnię na klucz zamknąwszy. Tylko ja zostałam z lalkami i brat Staś z pisaniem swoim.

Ledwo jeden kląb z zabawek na środku pokoju urządziłam, już ktoś dzwoni. Idę więc do przedpokoju do drzwi i powiadam:

— Proszę mi powiedzieć, kto tam dzwoni? żebym wiedziała, czy koniecznie potrzeba bratu Stasiowi przeszkodzić, czy nie? bo drzwi na klucz i zatrzask zamknięte, a ja ich otworzyć nie umiem.

— Jestem krawiec, i przynoszę mundur galowy dla pana Stanisława, proszę otworzyć — powiada głos za drzwiami.

Wołam tedy Stasia. Staś otworzył, z krawcem się rozmówił, mundur dla przymierzenia na siebie włożył, potem krawcowi zapłacił; krawiec poszedł sobie, a Staś chodzi po wszystkich pokojach i we wszystkich lustrach się przegląda. Nareszcie rzecze:

— I cóż? czy się nie cieszysz, że masz brata takiego pięknego mężczyznę, jak ja jestem? — i ukłonił mi się prześlicznie.

— Że brata mam, z tego cieszę się oczywiście, ale żebyś ty miał być takim pięknym mężczyzną, jak mówisz, tego nie widzę — odpowiedziałam, wzruszając ramionami.

— Jakto? mundur ze złotem na kołnierzu i na mankietach, szpada, kapelusz stosowany. i jeszcze nie piękny? czegoż ty ruszasz ramionami, mała?

— Ruszam ramionami, bo to mundur twój jest piękny, a ty, jak szlafrok włożysz, to wcale już piękny nie jesteś, bo przytęm nie masz ani brody ani wąsów.

— Ajajaj! jak ta dziewczyna źle mówi! to strach! mówże wyraźnie.

— I cóż ja temu winna, że niektórych wyrazów wymawiać nie mogę.

— Trzeba móżdż! trzeba się starać pięknie mówić, kiedy masz takiego pięknego brata, jak ja jestem.

— Co tobie śni się z tą twoją pięknością? kto to słyszał samemu się chwalić? Jeżeliś ty piękny mężczyzna, to i jabym też powiedzieć mogła, że jestem piękną panienką, a jednak się nie chwale. Ale ja wiem, że ty żartem tylko tak sobie mówisz, bo już mi to mama tłómaczyła.

— Ty! piękna panienska? a to jakim sposobem?

— A to takim, że nie potrzebuje kłaść gabry-

elki na oczy przy pisaniu! śliczny mi mężczyzna z gabryelką nad nosem.

— Mówi się umbrelka, a nie gabryelka. Umbrelki noszą najpiękniejsi mężczyźni, gdy oczy nad ciężką pracą, nad pisaniem czy rysowaniem nadweryżli. A gabryelka to suknia damska, i mama nosi gabryelę, i ty oto masz na sobie gabryelkę.

— A właśnie, że się mylisz, przepraszam cię, bo mama nosi olimpią i ja mam olimpią!

— Jaką olimpią znowu? co ty bajesz?

— A tak, olimpią; bo tak samo nazywa się i suknia, i panna albo pani, i ztąd ja też ten wyraz pamiętam.

— Ale to właśnie Gabryela! to z gabryelą tak jest, a Olimpii sukni niema.

— To już trudno, już ja tego tam nie odróżnię, co jest suknia, a co pani, czy gabryela, czy olimpia.

— A właśnie odróżniać trzeba wyraz od wyrazu i rzecz od rzeczy koniecznie! Bo inaczej, byłaby podobną do tego maleńkiego konika, którego wczoraj widziałas, a który, jak tylko nie idzie tuż przy swojej matce, to zaraz głową uderza w drzewo, w mur, w człowieka, i ludzie mówią, że on nie widzi tak, jak mały kot; a to bajka, bo mały konik widzi, tylko nie odróżnia jednej rzeczy od drugiej, tak właśnie, jak i ty. Ale taki konik, jak raz i drugi głowę o drzewo stłucze, to już się nauczy je odróżniać, a tobie tysiące razy się powtarza jedno, a ty ciągle nie możesz nauczyć się odróżniać! Cóż to? czy wszyscy z domu wyszli? I Józefowa?

— A wszyscy. I Józefowa.

— Więc my tylko we dwoje na gospodarstwie zostali? No, to poprzynośże tu zabawki, i tu mi się baw, żebym na ciebie mógł spojrzeć, jak będę pisał.

W czasie całej powyższej rozmowy, brat Staś zdejmował i chował mundur, kapelusz i szpadę; potem siadł do swego pisania, a ja, przyzwyczajona do pieśczęt ale i do karności zarazem, przenosiłam potrochu moje zabawki z sypialnego pokoju mamy do pokoju Stasia, bawiąc się już samém ich przenoszeniem. Tymczasem zmierzchno się. Staś zapalił świecę, a ja zabrałam się do podwieczorku, czy wieczery raczej, bo herbaty najczęściej nie pijałam. Położyłam maleńkie serwetki moje własne na kolanach lalki i krakowiaka, poczęstowałam ich, jak należy, a potem, jako gospodyni, zjadłam sama wszystko, co oni zostawili.

Zjadłam, posprzątałam, pozmywałam swoje gospodarstwo, lalki porozbierałam i spać pokładłam, a mamy, i siostry, i brata drugiego, i Józefowej, jak niema tak niema. Więc oczywiście



spać mi się nareszcie zachciało. Poszłam do sypialnego pokoju, kołdrę z łóżeczka zdjęłam, i zaczynam się rozbierać, zamyślając dopiero, gdy już za wysoką kotarę łóżka wchodzić mi przyjdzie, poprosić Stasia, żeby mi dopomógł i zaraz mu dobranoc powiedzieć. A dla tego wszystko to pocichu robiłam, żeby Stasiowi w pracy nie przeszkadzać. Zamiary miałam najlepsze; cóż, kiedy zaplątał mi się trzewiczek. Rozplątywałam go, siedząc na dywanie, długo i cierpliwie, aż spociszszy się z trudu i zdrzemnąwszy nad tą pracą parę razy, postanowiłam rada nie rada zażądać braterskiej pomocy, jako w koniecznej potrzebie.

Tedy nawpół już rozebrana, w białych tylko barchankach, przychodzę o jednym trzewiczku do Stasia, i podnosząc nogę wysoko, chcąc ją umieścić na Stasiowych kolanach, mówię:

— Proszę cię, Stasiu! odplącz ty mi trzewiczek bo spać idę.

— Co? ja? ja mam trzewiczek dziewczynce odplątywać? czy to ja od rozplątywania twoich trzewików jestem?

— A rozumie się; przecież wuj zawsze powiada, że chłopcy od tego są na świecie, żeby pannom usługiwali.

— To nie takim malcom, jak ty, tylko pannom dorosłym; i nie tacy stateczni mężczyźni, jak ja.

— Albo co ty jesteś? ty taki sędzia jesteś, jak i drugi, a mówisz o sobie tak, że myślałby kto, żeś ty król. Wielka rzecz: sędzia!

— Sędzia jestem.

— A sędzia, i wczoraj tamten pan tak cię nazywał, i krawiec ten dzisiaj. Wielka rzecz! i jabym sędzią potrafiła być.

— Toś ty taka mądra? patrzcie państwo! no, to kiedyś taka mądra, to powiedz mi, jakżebyś sądziła, gdybyś sędzią była?

— Tak samo, jak i ty: cobym napisała piórem, tobym zasypała piaskiem, i już.

— Tak?...

Staś zaniósł się od śmiechu tak, że aż trzewiczek mój odplątywać przestał. A odplątywał go dotąd gorliwie, zsunawszy w bok papiery swoje, a mnie posadziwszy na ich miejscu na stole przed sobą.

— No, już odplątałem trzewik — rzekł wyśmiewszy się — ale, czy to Józefowej jeszcze niema?

— A niema.

— To jakże ty będziesz w czwartym pokoju ztąd sama jedna spała? może ci się pić zachcieć, będziesz wołać, a ja nie usłyszę; nie można tak. Połóż się tu na mojem łóżku i śpij, a potem, jak mama wróci i wszyscy będziemy szli spać, to cię na twoje łóżko do mamy pokoju przeniosę.

— A dobrze; to zdejmże mię ze stołu.

— Czekaj, zaniosę cię, boś bosa. Ale, jak ty się roześpisz, a potem budzić cię będzie trzeba, to się rozkrzyczysz, prawda?

— A może i prawda.

— Ach, mój Boże! jaki ja też umęczony jestem! cały dzień w pracy, jak roboczy wół, a jeszcze z będziem tym kłopotać się muszę.

— Ej, ty jęczysz, nie jak wół, tylko jak wielbłąd, kiedy za wiele ciężaru na niego włożyć — powiedziałam ze współczuciem, trac pięścią oczy i ziewając szeroko.

— A ty co o wielbłądzie wiesz?

— To Tonio uczył się wczoraj z książki głośno.

— Słuchaj, jeżeli tu nie zlecisz tymczasem ze stołu, to ja pójde do sypialnego pokoju, przyniosę twoję własną kołdrę i położysz się na mojem łóżku, ale okryjesz swoją kołdrą, a jak uśniesz, to ja cię z kołdrą tak ostrożnie przeniosę, że się wcale nie obudzisz, i krzyku nie będzie. Dobrze?

— Dobrze.

— No, to ja idę po kołdrę; ale ty nie zlecisz tu ze stołu?

— Zlecę.

— Spadniesz?

— Spadnę.

— Ach ja nieszczęśliwy! — krzyknął znów Staś, krzywiąc się okropnie i za głowę chwytając — chodź! pójdziemy razem po kołdrę.

Wziął mnie na ręce, niby z wielką złością, ale szedł po kołdrę podskakując, jakby tańczył; więc nie bardzo musiał być zły.

— Na, masz, nieś swoją kołdrę sama — powiada, dając mi ją — niedość, że ciebie niosę, czyliż i kołdrę jeszcze mam dźwigać?...

Uznałam, że miał słuszność i wzięłam kołdrę. Położył mię na swoim łóżku, kołdrą otulił, poduszki wstrząsnął, i rzecze:

— U mego łóżka niema krutek tak, jak u twojego; jak ty tu uśniesz, to znowu możesz spaść, prawda?

— A prawda..

— No, czekajże; przystawię stół mój do łóżka i będę pisał, to już ty pewno nie spadniesz.

— A dobrze.

Więc przyniósł, usiadł i pisze, porozkładawszy koło siebie na stole i na łóżku przeróżne swoje przybory, żeby mieć wszystko pod ręką: scyzoryk, ołówek, pióra i umbrelkę, której zaczynając pisać nigdy nie używał, ale po kilkugodzinnej pracy kładł z konieczności, gdy go oczy zaczynały boleć.

Ale zanim to wszystko się stało, mnie jakoś pierwszy sen odleciał. Zaczęłam się tedy nudzić,



leżąc spokojnie na łóżku poza piszącym Stasiem. Że zaś rozumiałam doskonale, że mówić do niego, i marudzić, i przeszkadzać mu nie trzeba, więc aby czas zabić, pocichutku przyspiewywać sobie poczęłam:

Tra la la la tra la la la.  
Poszedł wróbel do kowala;  
Mój kowalu, podkuj nóżki,  
Żebyś lepij chwytał muszki.  
Tra la la la tra la la la,  
Poszedł wróbel do kowala.

— Niuniu! kto ciebie takięj śpiewki bez sensu nauczył? — pyta Staś.

— Bez sensu? kto? a któż miałby mię uczyć? Przecież ja sama sobie każdą śpiewkę wykomponuję.

— To komponuje z sensem przynajmniej; gdzie kiedy jaki wróbel do kowala chodzi, żeby nóżki mu podkuwano? konie tylko podkuwane bywają, czy nie rozumiesz tego?

— Rozumiem, ale tyś sam powiedział wtenczas, jakęś mi powinszowanie komponował dla wuja, że w śpiewce można śpiewać i głupstwo, bo to nie będzie głupstwo, tylko libencya-pokratyka.

— Licencya poetica! dziewczyno, co ty pleciesz! poetica, a nie pokratyka żadna.

— E, to wszystko jedno. Tra la la la tra la la la.

— Moja Niuniu, nie śpiewajże takich bzdurstw.

— Proszę cię, Stasiu, nie wymyślaj na moję śpiewkę brzydkich słów, bo ja takich żartów nie znoszę!

— I ja też takich śpiewek nie znoszę, nad uchem zwłaszcza, kiedy piszę.

— To się wynoś ztąd! — krzyknęłam w uniesieniu. Wstyd mi przyznać się do tego, ale tak było; prawda, że miałam wtedy dopięro lat pięć.

— Wynieść się? mam się wynosić z własnego mego łóżka, w które tyś się wkwaterowała! O, dziewczyno! jakież to straszny despotyzm!... — jęknął Staś.

— Głupotyzm? ja zrobiłam głupotyzm? — krzyknęłam zaperzona — proszę nie mówić do mnie więcej, bo obrażona jestem — i gwałtownie odwróciłam się do ściany, obrażona istotnie do żywego i to potrójnie: o śpiewkę, o głupotyzm, i o to, że Staś śmiał się teraz.

— Czekaj! dam ja tobie! — mruknęłam zwyczajem niemądrych dzieci, które odgrażać się lubią; ale odgrażając się tak, spostrzegłam umbrelkę Stasia, taczającą się po kołdrze. Bez namysłu chwyciłam ją i zgiąwszy, wsunęłam w duży kalosz, stojący tuż przy łóżku.

— Spadniesz, mała! — krzyknął Staś, chwytając mię wychylającą się z łóżka, ale nie wiedział o co idzie.

— Teraz szukaj gabryelki swojej — mruknęłam sobie i usnęłam wkrótce z owęj złości.

Nie wiem, jak długo spałam, nie wiem, kiedy mama z Minią i Toniem wróciła, przez sen słyszałam chodzenie, szukanie, pytania, odsuwanie sprzętów i gniewanie się Stasia o to, że nic w domu nie może na właściwem miejscu uleżeć — ale mimo to wszystko spałam.

Za to nazajutrz swoim zwyczajem wstałam rano, i pomagałam mamie przy rozdawaniu śniadania.

— Oj oj! a Stasiowi co w oczy! — krzyknęłam negle, spojrzawszy w jasnym świetle poranku w zaczerwienione oczy Stasia.

— A coż, Boże broń, żeby gorzej nie było; piął całą noc bez umbrelki, bo gdzieś przepadła, i z tego mu gorzej — rzekła matka. Wrzasnęłam rozpaczliwie i rzucając się na brata, całowałam mu ręce płacząc a wołając:

— To ja! ja na złość twoję gabryelkę w kalosz schowałam, za głupotyzm!...

Minia przyniosła kalosz, postawiono go na środku jadalni i uroczyście wywleczono z niego nieszczęsną gabryelkę, której szukając, przewrócono cały dom tej nocy.

Mama nie łąjała mię, widząc prawdziwe zmartwienie moje, ale nie mówiła do mnie nic, i nie spojrzała na mnie przez cały dzień; wołałabym żeby mię niewiedzieć jak ukarała... I Minia odwracała się odemnie, nie mówiąc nic za przykładem mamy. Tonio biegł do swego stolika, ile razy przechodziłam koło niego, i wołał, że ja i jemu jeszcze co spleć. Nawet Józefowa, zbudzona w nocy przypadkiem przy szukaniu gabryelki, mruczała teraz na swawolę moję.

W nieszczęściu takim jedyną ucieczką moją był Staś. On jeden śmiał się ze mnie i z gabryelki, a ja przez trzy tygodnie mordowałam go za to, zaglądając mu w oczy i płatki podając sześćdziesiąt razy na godzinę, dopóki czerwoność z oczu nie znikła.

Kiedy nareszcie doktor powiedział, że z oczami już jest dobrze, i odszedł, wtedy Staś wziął mnie na kolana i rzekł:

— Chciałaś mnie zrobić na złość, a ucierpiałaś na tęg złości chyba więcej niż ja, a to dla tego, że robić cośkolwiek na złość jest złem, a zło każde samo w sobie karę ma dla tego, kto je spełnia. A że ja nie chcę, abyś ty zasługiwała na cierpienie i cierpiała, to przyrzecz mi, że nigdy nikomu na złość już robić nie będziesz.

— Nigdy! póki życia! — krzyknęłam w uniesieniu, całując mu ręce ze łzami...



## OSTATNI PIAST NA SZLĄSKU,

Opowiadanie historyczne

według podań ludowych ułożyła

Marya Świdarska.

## I.

## Gołąbka w orlém gnieździe.

Noc ciemna zaległa nad ziemią. Żadna gwiazdka nie przebija się przez grubą chmur opońg i tylko kiedyniekiedy zdaleka błyskawica krwawym zygzakiem rozdziera czarną zasłonę nocy, a grzmot głuchy po chwili zwiastuje odgłosy burzy gdzieś w dali, za lasami i górami.

Ale i tu na ziemi niema spokoju. Śród ciszy nocnej słyhać chrzęst broni, powolne lecz ciężkie stąpania, czasem rżenie koni i hasła wojskowe, wymieniane szybko lecz wyraźnie. Ogniska, porozpalane na polu, szerokim wieńcem okalały wyniosłą górę, na której śród ciemności bieleją mury zamku warownego. I tam nie śpią: na murach stąpają ciężkie kroki straży, a w małych okienkach migają światełka czerwone, zapewne smolnego łuczywa, co się na kominach pali.

Zamek to Frankenstein \*), potężna dzielnica Bolka III-go, księcia na Świdnicy i Jaworzu, ostatniego z Piastów, co się jeszcze przemocy drapieżnych sąsiadów opiera. Dziś, oblężony przez liczny poczet rycerstwa, na czele którego stoi sam Karol Luksemburski, król czeski \*\*), broni się Bolesław mężnie, od kilku już tygodni odpierając liczne i wyćwiczone w boju najezdców szyki. I teraz, choć już godzin parę upłynęło od zachodu słońca, chociaż po dniu spędzonym na murach, zkąd oblężeni, ciskając ogromne kamienie, lejąc smołę i ukrop, zmuszali do odwrotu zastępy oblegających, po dniu bitwy i znoju, Bolko, zamiast legnąć na twardej swój pościeli i dać spocząć strudzonej głowie, przeciwnie, zwołuje rycerzy swoich na naradę do wielkiej sali sklepionej, na dole.

Ztąd właśnie bije światło przez małe, zakratowane, głęboko w grubym murze żłobione okienka, ale i na górze, niby jasne oko śród ciemności, błyska białawém światłem okienko z wieży. Zajrzyjmy do małej, i również sklepionej komnatki śród grubych murów wieżycy, której dotąd, ani ogromne kamienie, ani kawały żelaza, z ciężkich pocisków napastników padające, naruszyć ani wstrzą-

snąć nie zdołały. „Gołębiem gniazdem” nazywają rycerze Bolesława okrągłą komnatę, do której po wązkich drabiniastych wschodach tylko dojść można; nie braknie też bielej gołąbki, tulącej się w tém gniazdku, z którego jej wypłoszyć nie zdołały ani grzmoty i pioruny, co rozdarły grubą jodłę naprzeciw okienka rosnącą, ani straszniejszy może zgiełk wojenny, od tyłu już tygodni trapiący dzielnicę Bolesławową.

Czyż nie podobna do gołąbki ta wdzięczna dziewczeczka o błękitném oku i długich jasnych warkoczach, co padłszy na kolana, wznosi drobne rączki i białą jak lilia twarzyczkę do obrazu Bogarodzicy, przed którym płonie mała lampka na stalowym zawieszona łańcuszku? Łzy rzewne, jak rosy krople, spływają po licu dziewczęcia i snąć, że już długo w niemój pozostaje modlitwie, bo właśnie zbliża się ku niej sędziwa, białym rąbkiem otulona wieśniaczka i troskliwie ramieniem objawszy szczupłą kibić dziewczęci:

— Hanulko, gołąbko moja — rzecze — dość już tych modłów i łez gorących; gdzieby też nie trafiły do Najświętszej Matki, kiedy mnie aż się serce rozplywa, patrząc na ciebie, ptaszyno moja, że aż duszę swoją wylewasz przed Panem Bogiem! Jużem ci łóżeczko wysłała, spocznij, gołąbeczko, a ja ci bajkę opowiem o zaklętym królewiczu, czy o smoku skrzydlatym, jak to niegdyś bywało, pamiętasz, ptaszyno, w jaworzańskim zamku naszym, kiedy żył i władał miłościwy pan mój, a twój ojciec najlepszy, kiedy ci się nudziło w długie zimowe wieczory.

Dziewieczka podniosła się z kolan, ucaławszy przedtém z pokorą ziemię i przeżegnawszy się po bożnie.

— Nie, Bogno — rzekła — nie każcie mi się kłaść do łóżka; taki mnie dręczy niepokój, że usnąćbym nie mogła, ani nawet słuchać bajki o zaklętym królewiczu. I tobie się na sen nie zbiera, prawda, nianiu moja miła? Lepiej siądnijmy sobie do kądzieli i pogwarzmy o dawnych, dobrych czasach, kiedyśmy ani szczęku oręza nie słyszały, ani drżały co chwila na widok pożarów, płonących w około.

I mówiąc to, Haneczka pogłaskała starą piastunkę po zwiędłej i pomarszczonej twarzy, a Bogna, choć miała już usta otworzyć, żeby pogderać trochę, uśmiechnęła się, spojrzawszy na pieszczoszkę swoją i poszła dołożyć smolnego łuczywa do ognia, dogasającego na kominku. Potém usiadłszy obie na niskiej ławie dębowej, przykrytej wzorzystym kilimkiem i ująwszy prześlice, owinięte srebrystém włókném lnianém, poczęły wysnuwać cienkie niteczki. Wrzeczono szybko się obracało w pomarszczonę i wychudłą rękę staruszki, ale

\*) Zamek Frankenstein (Ząbkowice) wystawił Bolko I książę na Świdnicy, zmarły 1303 roku.

\*\*) Karol IV, syn Jana, znanego ze srogości swojej i niezmiernęj waleczności.



prędzej jeszcze furczało w białych paluszkach Anki. Ogień z kominka rzucał blask czerwony po komuacie, a duży czarny pies wygrzewał się przy ognisku, czasem tylko podnosząc mądre oczy na młodą swą panią.

— Chcieliście, Bogno, opowiadać bajkę o za-

opuściła Polskę naszą ukochaną, ale pamiętam jak dzisiaj dzień ten smutny, choć niby i wesoły, gdy nasze wozy z Krakowa wyruszały. Młodziutka pani moja, a babka twoja, gołąbko, Małgorzata, córka Łokietkowa, po sutém weselu jechać miała do domu męża swojego, pana na Świdnicy. Mnie,



Skarb (str 765).

klętym królewiczu, to mówcie lepiej o prawdziwym królu polskim, a dziadku moim najukochańszym, Kazimierz, coście go nieledwie na rękę nosili; o babce i pradiadku moim przesławnym.

— Dawne to już dzieje, gołąbko moja, kiedy

com od dzieciństwa nieledwie przy królownie była, nie chciano puścić od niej, a Jaśko mój dostał obowiązek koniuszego przy dworze młodej pani. Dworno i luczno zbieraliśmy się w drogę na Szląsk. Młody pan nasz, niby Ś-ty Michał na ko-



niu białym, od złota i pereł błyszczący, oka od siebie odwrócić nie dawał; zato pani moja, świeża jak jagoda, kiedy spojrzała, to się aż słodko w sercu robiło. Kiedy na ciebie spojrzę, gołąbeczko moja złota, zda się, że te lata długie gdzieś się podziały, a ja widzę przed sobą najmiłościwszą królownę moję.

Raz jeszcze dworno i strojno jechaliśmy przez bramy Krakowa, ale wtedy już piastowałam syneczka pani mojej, a ojca twego, świeć Panie nad duszą jego. Wtedy już gracko szabelką wywijał, co ją nad wszystkie bawidelka przekładał, a w Krakowie święciliśmy uroczystość wielką, bo narodzin polskiego królewicza\*), który teraz ludowiswemu miłościwie panuje i pono lepszy jeszcze od rodzica swego, o biednych najwięcej przeżywa i każdemu do siebie dostępu dozwala. Na chrzcie świętym dano mu imię Kazimierza i zda mi się, że widzę, jak naszego przecudnego królewicza do kościoła wnoszą, a z Wawelu dzwony biją radośnie, ot będzie temu lat trzydzieści. Szczęśliwa to była chwila, a kiedyśmy do Świdnicy wracali, nie przeczuwało serce moje, że to ostatnia godzina szczęścia, że odtąd oczy z łez prawie osychać nie miały. Jakoż wkrótce potem najmiłościwsza pani moja na ręku moich Bogu ducha oddała, a zimnemi już usty szeptała, żebym nigdy nie porzucała dziełek jej, Mieszka i maleńkiego Bolka, żebym ich nosiła do dziadka i mowy ich polskiej uczyła.

Jakoż król Władysław Łokietek chciał obydwóch na dwór swój zabrać, ale pan nasz synów dać nie chciał i w srogim żalu, po utracie najukochańszej małżonki, przy nich tylko pociechę znajdował. Bywało z wojny wraca, jeszcze hełmu nie zdejmie i cały, jak był w żelaznej zbroicy, prosto kroczy do dziecienną izbę. Mały Mieszko, co był zawsze do matki podobny, słodki i cichy jak ona, że go ojciec na żarty księdzem nazywał, usuwa się w kąt na odgłos szablidy, co po kamiennych płytach dzwoni i nieśmiało do ojca przystępuje; zato Bolko, obie ręce na szyję mu zarzuciwszy, zrywa hełm z głowy, to małą piastką w pancerz uderza, to znów próbuje szablidę ojcowską dźwignąć z ziemi. Potem obaj książęta na konikach, pod wodzą księcia pana, mocują się, hasając po zamkowych podwórcach, i ani mi przez myśl przeszło, jak już obydwa z ojcem raz pierwszy na wojenkę ruszyli.

I znów wesele, płasy i śpiewy, to znów trumny i pogrzeby, że się człowiekowi, jak we śnie, to wszystko miga... Ja na Jaworzańskim zamku znów kołyszę maleńką sierotkę, co prawie matki własnej nie widziała, a tu wnoszą rycerze w żałobie ciało ojca twego, Hanulko, co poległ od niemieckiej

strzały. Już myślałam, że nam zginąć przyjdzie, nim się poza góry do Polski dostaniem, gdzie jeszcze pradziadek twój, król Łokietek panował, aż tu przybywa ze Świdnicy książę nasz Bolko, brat nieboszczyka i mówi, że nikomu gołąbki swęj zabrać nie pozwoli, że sierocie po bracie swym ojca zastąpi. I pojechaliśmy z nim, a na cmentarzu w Jaworcu zostały zwłoki rodziców twych miłościwych i Jaśka mego, co napróżno pana ciałem swym zasłaniał, aż go Niemcy rozsiekali, żem go poznać nie mogła, gdy go ledwie żywego do zamku przywieźli.

I stara piastunka wychudłą ręką otarła łzy, co jej po twarzy płynęły, a Hanka, objawszy ją za szyję, przytuliła główkę do jej piersi, chcąc trochę pocieszyć i upieścić staruszkę.

— A pamiętacie, Bogno, jak to wtedy gwarno było na zamku u stryja? A te zaręczyny moje z Przemkiem, co mi go stryj na męża przeznaczył?

— Pamiętam, gołąbko; miałaś wtedy lat pięć, a mały książę brat krzyż dyamentowy w podarku na szyję ci włożył. Mówiłam ja wtedy, że krzyża się dawać nie godzi, a we dwa lata już stawialiśmy krzyżyk na mogile Przemkowej. Pan nasz, po stracie jedynaka, zdawało się, że od rozumu odchodzi: nie spał, nie jadł, zimny, jak kamień, słowa do nikogo przemówić nie chciał i tak siedział chmurny od rana do wieczora, i znów od wieczora do rana, a nikt nie śmiał zbliżyć się do niego, aż dopiero, kiedy gołąbka moja cicho się przysunęła i główkę mu złocistą na kolanach złożyła, rozplakał się jak dziecko, i porwawszy ją na ręce, przycisnął do serca, żeby mu nie pękło.

— I ja tę chwilę dobrze pamiętam, nianiu; zdawało mi się, że mię stryj rozgniecie na piersiach swych, ale nie krzyknęłam, tylko go mocno za szyję objęłam i szeptałam, że go nigdy nie porzucę.

— I nie można było porzucić osierociałego pana; gdyby nie to, byłabym cię dawno zawiozła do Krakowa, gdzie nas król Kazimierz tyle razy wzywał. Tambyśmy odetchnęły po tych wojnach ustawicznych, bo król Kazimierz pono wojny nie lubi, a tylko mądrze w kraju swym gospodarzy. I nasz książę pan możeby chętniej spoczął i zajął się ludem swoim, bo i w Świdnicy i w Jaworzu straszna bieda z tych ciągłych wojen; ale cóż poradzić ze złym sąsiadem, co nas trapi i najeżdża?

— Ach prawda, Bogno moja, że te wojny, to rzecz straszna; mnie się zdaje, że stryj powinien się pogodzić; inaczej wszyscy wyginą do szczytu i kamień na kamieniu nie zostanie u nas.

— A zkądże do zgody przyjść może z hardym Niemcem albo chciwym Czechem, co chcą zmusić

\*) Kazimierz II Wielki urodził się r. 1310.



wolnego Piasta, żeby im hołdował? Alboż to on nie pan na ziemi swojej, a gdyby miał hołdować, to pewno nie podłemu Niemcowi ani Czechowi, co cesarskie stopy liże, ale naszemu wielkiemu królowi Kazimierzowi, co go i Ruś Czerwona za pana uznawała i Litwa się doń życzliwie kłoni. Tam nasi bracia, jedna wiara, jedna mowa, nie to, co przekłete Niemcy.

— Niemcy zapewne, ale nie Czechy — prze-rwała dziewczeczka — bo i to przecież bracia od Lecha jeszcze.

— Taki brat, co się mowy ojczystej wyrzekł i z wrogiem trzyma, to gorszy od samego wroga \*). Alboż to nie wiesz, księżniczko moja, że Czech z Niemcem teraz bratry, jedną mową gadają i jednym orężem się przymierzają na biedną ziemię naszą. To ci te mniszki w Pradze główkę przewróciły, a mówiłam księciu panu, żeby cię tam nie wiozł. Rok czasu, niewiele, rzekł książę, a dziewczeczka dogodzi ciotce przeoryszy w klasztorze i trochę się ogładzi w tej Pradze, co o nią dziwy rozprowadzają. I nauczyło się dziewczę moje krasnemi jedwabiami wyszywać i na książce malowanej czytać, ale jakieś czary czy uroki na ciebie tam rzucili, gołąbko moja, boś mi wróciła, jak gdyby inna, a we śnie rozprowadzasz o tej Pradze, niby to raj ziemski.

— Bo też tam pięknie, Bogno; gdybyście tylko widzieć mogli! Nie takie lasy dzikie, jak w naszym Frankensteinie. Tam nad Wełtawą Hradczyn wspaniały, a kościołów, świątyń pańskich bez liku, gdzie grają i śpiewają jak anieli w niebie, i góry zielone i rzeka się srebrzy. Tam żyć i umierać bym chciała!...

— Pewno, że tobie nie siedzieć w tym gnieździe orlém, gołąbeczko moja, ale poco Pragi szukać? Nasz Kraków pewno piękniejszy!

(D. c. n.).

## LISTY Z WARSZAWY.

Kazio do Maryni.

Kochana siostrzyczko! Przyrzekłem ci donieść jak tylko można najwcześniej o książkach wydanych na tegoroczną gwiazdkę, ażeby mama i wszyscy wasi znajomi mieli czas sprowadzić je na podarunki świąteczne. Nie dla tego, aby rzeczy

nowe miały być zawsze lepsze od dawniejszych, ale że macie już w domu to wszystko, co wyszło w latach poprzednich. Otóż w tych dniach, chcąc się z danego przyrzeczenia wywiązać, poszedłem do księgarni i prosiłem, aby mi wszystkie nowe wydawnictwa dla młodzieży i dziatwy pokazano, ponieważ jestem sprawozdawcą Wieczorów Rodzinnych i muszę o tém donieść czytelnikom tego Pisma. Zaraz też z największą uprzejmością odesłano mi do domu sporą paczkę książek, abym je mógł nietylko przejrzeć, ale nawet porządnie przeczytać i wskazać, co dla kogo będzie najstosowniejsze.

Zacząłem tedy czytać, wybierać i widzę, że wszystkie te książki, jak mnie się przynajmniej zdaje, dobre są i śmiało je mogę polecić; o gorszych zresztą, gdyby i były, wolę nie wspominać. Najpierw więc dla małego Janka, który się już zaczyna uczyć czytać, chciałbym wskazać jakiś ładny podarek na gwiazdkę. Wiem dobrze, że mama dla niego kupiła elementarz Jeskego, lepszego też nie potrzebuje, jeżeli o naukę czytania idzie, ale trzeba przecież malcowi dać jakąś książeczkę z obrazkami, choćby tylko dla zachęty. Przeglądałem w tym celu dwa tegoroczne abecadniki. Jeden, *Arka Noego*, ma śliczne obrazki kolorowe, stosownie do tytułu, przedstawiające zwierzęta całego świata, jakby w arce Noego zgromadzone. Do każdej litery dobrane są zwierzęta, których nazwy od tej litery się zaczynają. Drugi abecadnik nie ma tak ozdobnych obrazków kolorowych, ale za to znajdzie w nim Janek wizerunki różnych znakomitych i zasłużonych Polaków, Kopernika, ks. Falkowskiego, Brodzińskiego, a zaraz na pierwszej karcie Jachowicza, tego ukochanego przyjaciela młodzieży, autora przeslicznych bajek, które każde polskie dziecko powtarza. Otóż sam nie wiem, która z tych dwóch książeczek będzie lepsza dla naszego Janka? Niechże mama już sama wybierze, co zechce. Można mu także kupić piękną książkę: *Zwierzęta domowe*. Nie wiele się z niej, co prawda, nauczy, ale co za obrazki! Ja sam je oglądałem z przyjemnością. Koń, krowa, pies, a szczególnie kotka wygląda prześlicznie; oczy ma zielone, błyszczące, jakby żywe. Bardzo to wytworny podarunek na gwiazdkę.

Dla Andzi, która już dobrze i płynnie czyta, dobrałem także aż dwie ładne książeczki pomiędzy tegorocznymi wydaniem. Pierwsza, *Powiatki prawdziwe*, dostatecznie się zaleca nazwiskiem autorki, gdyż jest to ostatnia przedśmiertna praca nieodżałowanej pani Krakowowej, znaniej tak dobrze czytelnikom Wieczorów. Są to ładne i zajmujące opowiadania dla młodszej dziatwy, z rzeczywistych zdarzeń ułożone.

\*) Był czas, że Czesi, pod wpływem przemożnego sąsiada, zmienczyli się i zdawało się, że swą narodowość tracą, i tym większa chwała im, że po tylu wiekach, dziś znowu rozbudzili w sobie miłość do ziemi i mowy ojczystej. Dziś pracują z zapalem nad językiem, oświatą i wyciągają rękę do bratnich plemion.



Druga książeczka, pod tyt: *O szarej godzinie*, jest także pracą współpracowniczek naszych Wieczorów, p. Zuzanny Morawskiej. Opowiadanie zaczyna się od tego, że się dzieci nudzą, a mama, chcąc je czemś pożytecznem zająć i zabawić, opowiada im codzień o szarej godzinie o dziejach ojczystych. Mama ta pozwala często dzieciom przerywać opowiadanie, one też korzystają z tego i różne zabawne uwagi wtrącają, a ztąd powstaje rozmowa bardzo zajmująca i ożywiona. Andzia nie bardzo lubi czytać historią, to jest poważną naukową książkę, ale tę będzie z pewnością czytała, a ubawi się i nauczy z razem.

Dla was, starszych, jest także w czém wybrać. Najpierw: *Historja w Obrazach*, przekład z niemieckiego p. Zajączkowskiej. Możecie z tej książki wiele skorzystać; tomik dość spory mieści w sobie wiadomości z dziejów starożytnych, przedchrześcijańskich, a więc historią Wschodu, Grecyi i Rzymu. Ładne obrazki bardzo to czytanie uprzyjemniają i ułatwiają zrozumienie przedmiotu.

*Podróż naukowa po pokoju*, z niemieckiego, wyszła w drugiem wydaniu w tym roku; dowód to najlepszy, że książka jest pożyteczna, skoro ją czytają, i pierwszy nakład się wyczerpał. Nie każdy zrozumie odrazu, jak to można odbywać podróże po pokoju, a do tego naukową. Ale zastanówmy się tylko, ile to jest rzeczy w pokoju, o których my bardzo mało wiemy, choć na nie codzień patrzymy. Czy to każde dziecko, nawet i dorastające, zna dokładnie własności powietrza, które pokój napęlnia, czy wie, z czego jest zrobiony każdy sprzęt? A wszystko to jednak są rzeczy ciekawe i warto się o tём dowiedzieć. O jednym pokoju, niezbyt nawet przepełnionym sprzętami, znalazłoby się tyle do powiedzenia, że możnaby o tём niejedną taką książkę napisać.

Dla chłopców, lubiących opisy podróży i przygód w dalekich, zamorskich krajach, wyszło w tym roku aż dwie książki tego rodzaju. *Robinson Meksykański* tłómaczony z angielskiego przez pana Rzętkowskiego i *Rozbitki* opowiadanie prawdziwe o przygodach francuzkich żeglarzy, którzy spędzili dwadzieścia miesięcy na wyspach Aukladzkich po rozbiciu okrętu. Książka ta ukazała się także już w drugiem wydaniu i nic dziwnego; że jest czytana, bo prawdziwe przygody zawsze są więcej zajmujące od zmyślonych. Kiedy już o podróżach mówimy, muszę ci też donieść, że dziennik mojej podróży, drukowany w Wieczorach, wyszedł w osobnej odbitce pod tyt. *Przygody młodego podróżnika w Tatrach*. Wydanie jest przepyszne, a rysunki przedstawiające różne widoki tatrzańskie, prześliczne. Nie wypada mi się chwalić sa-

memu i książkę polecać, ale rysunkom mogę przecież oddać sprawiedliwość.

Przeszłego roku polecałem gorąco wszystkim moim rówieśnikom *Pamiętniki Paska*, dla młodego wieku opracowane przez Laskarysa. Każdy, kto ma tę piękną książkę, powinien teraz kupić *Pamiętniki Starego Szlachcica*, przez tegoż samego autora ułożone. Takie rzeczy swojskie, które są klejnotami literatury ojczystej, trzeba czytać i mieć w bibliotece, aby je odczytywać no kilka razy. W Pamiętkach tych znajdujemy mnóstwo szczegółów niezmiernie ciekawych i zajmujących o znakomitych ludziach, wsławionych w naszej historii i ojczystych wspomnieniach. Książka ta ozdobiona jest ładnymi kolorowymi obrazkami.

Chciałem już na tём skończyć, bo wyliczyłem wszystkie książki stosowne dla małych i starszych dzieci, ale ciocia mi przypomniała, że młodzi czytelnicy i czytelniczki Wieczorów mają często i starsze siostrzyczki, takie, co nie chcą czytać dziecinnych książeczek, więc mógłbym i im się przysłużyć, wskazując dobrą książkę do czytania. Nie wypada to wprawdzie, aby młodzieniec w moim wieku, uczeń, doradzał dorosłym pannom, co mają czytać. Ale ja wcale nie od siebie, tylko od cioci donoszę, że wyszła w tym roku bardzo dobra książka dla takich czytelniczek, *Dziewczęce losy*, tłómaczona z niemieckiego przez p. Dzieduszycką. Dla osób lubiących czytać piękne poezye, piękny podarunek stanowić może *Lirnik polski*, zbiór najpiękniejszych poezyi, od najdawniejszych, do najnowszych czasów, ułożony przez p. Wandę Żeleńską.

Zdaje się, że to już wszystko. Gdyby jednak później ukazała się jeszcze jaka spóźniona książeczka, to doniosę o niej w liście następnym. Teraz powiem jeszcze słówko o nowych ulepszeniach, które redakcja naszych *Wieczorów* zaprowadza na przyszły rok w swoim Piśmie. Starsi czytelnicy mają w niem bardzo dużo do czytania, nie mogą też się uskarżać, aby im czegokolwiek brakło, czy powieści, czy zajmujących podróży, czy przystępnych naukowych wiadomości. Ale działwa narzeka, bo też doprawdy, czekać dwa tygodnie na dalszy ciąg powiastki, to trochę za długo. Otóż w roku następnym każdy Nr *Wieczorów* co tydzień będzie miał osobny Dodatek dla młodszych czytelników z obrazkami.

A teraz kończę, bo i tak proszono mię w redakcyi, żebym się nie rozpisywał zbytecznie. Przy końcu roku zawsze im miejsca brak. Bywaj więc zdrowa, siostrzyczko. Twój przywiązany brat.

Kazio.



## S K A R B.

Na wzgórk, pod Bożą-męką, siostra zęgnęła się z braćmi, odchodzącymi w świat za chlebem. I rzekła siostra, spoglądając na chatę, w której się zrodzili oni wszyscy:

— Tu jest ukryty i zachowany skarb!—i wskazała na ziemię, gdzie stała. — Przrzeczcież mi, bracia mili, kiedy już koniecznie w świat się wydzieracie, przrzeczcie, że wróćcie tu na starość chociaż, abyśmy razem skarb ten znaleźć mogli!

— A ja czego mam czekać starości! wolę skarb odkopać natychmiast! — zawołał starszy z braci i gwałtownie kopać zaczął i głązy nawet toporkiem rozbijając, a napracowawszy się napróżno, rozniewał się na siostrę, sądząc, że go zwiodła i odszedł w świat w tym gniewie, a gdy o nim zapominał, to i o siostrze zapominał także, i o tém, co ona mówiła.

Ale młodszy brat, poszedłszy także i prędko przekonawszy się, że wszędzie ciężko na chleb trzeba pracować, a pamiętając słowa siostry, wrócił do niej, pytając o skarb, który mu obiecała.

— Jeszcze nie czas! — odrzekła.

Więc czekając aż będzie czas, brat zajął się pracą, domem i zagonem rodzinnym, a wszystko to odżyło przy jego staraniu, i powoli dobrobyt otoczył cierpliwego pracownika na rodzinnym zagonie.

Gdy raz, w późnej już lecz czerstwej starości, szedł na przechadzkę przez bogate swe łąny brat młodszy, liczną, piękną i kochającą otoczony rodziną, ujrzał pod figurą ubogiego, wynędzniałego starca, w którym z trudnością starszego poznał brata. Ten wówczas rzekł do siostry:

— Sam nie wiem, jakim przypadkiem niedawno dopiero przypomniałem sobie twą obietnicę i oto jestem. Gdzież jest skarb?

A na to siostra:

— Skarb, o którym wam mówiłam, jest to szczęście, które w mojem przekonaniu tylko pracując sumiennie na rodzinnym zagonie znaleźć można: spojrzysz, starszy bracie, na młodszego, który tu dawno powrócił i żyje w pracy spokojnej, i przyznaj, że on skarb ten znalazł.

Starszy zbladł okropnie na te słowa, które mu odbierały ostatnią prawie jego nadzieję, bo on je tylko w skarbach bez pracy pokładał...

Po chwili spojrzął na brata, na rodzinę jego, na wesołą wioskę, na dobrobyt otaczający go w około, powiódł dłonią po własnej wynędzniałej twarzy, położył dłoń na własnem, pustem sercu, pomyślał głęboko, i zapłakał...

Zapomniał w pierwszej chwili w ciężkiem swém strapieniu, że i serca kochających istot są także skarbem. Przypomnieli mu to brat i siostra. Zabrali go do swojej chaty, starali się przekonać, że na szczerą poprawę nigdy nie jest zapóźno. Odtąd więc i ten brat pracował razem z nimi i resztę życia poświęcił na to, aby się im wywdzięczyć.

Azet.

## Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Od czasu, gdy się to działo, minęło lat kilkanaście, nie jedno więc od tej pory zmieniło się w Egipcie, główną zaś i najważniejszą zmianą jest przekopanie kanału Suezkiego, który wówczas nie był jeszcze dokończony. I wtenczas jednak stumilowa pustynia, ciągnąca się od Kairu do Suez, nie była już tak straszną dla podróżników, jak w dawniejszych czasach. Bandy rabusiów były tam niegdyś tak liczne, że napadały nawet karawany, ale Mehemed-Ali, namiestnik sułtana, ucywilizował nawet i pustynię. Władca ten żelazną dłonią dosięgnął rabusiów i przerzedził ich szeregi, urządził prawdziwe drogi wśród zasp piaszczystych, a nawet stacye wygodne, gdzie karawany mogą dostać wody i żywności. Prawda, że wodę nilową sprzedają tam czasem tak drogo, jak wino w Europie, ale nikt już przynajmniej nie jest zagrożony śmiercią z pragnienia.

Karawana doszła wkrótce do stóp łańcucha skalistych gór Mokata, ciągnących się wzdłuż pustyni od wybrzeży Nilu, aż do morza Czerwonego. Zachodzące słońce ozłociło szczyty gór, stoki ich tonęły w mroku wieczornym, piasek pustyni przybierał barwę różową.

Karawana zatrzymała się w małej oazie, ocienionej pięknym gajem palmowym. Rozłożono namioty i przyrządzono posiłek wieczorny. Arabowie w podróży nadzwyczaj są wstrzemięźliwi w jedzeniu. Rzadko kiedy rozpalają ogień, zwykle zadowalniają się nabiałem, owocami, chlebem i wodą. Zwłaszcza pielgrzymi, udający się do miejsc świętych, poprzestają na najskromniejszym posiłku.

Nie zapomniano też o zwierzętach, nakarmiono i napojono konie i wielbłądy, wydzielając im oszczędnie paszy i wody. Potem wszyscy do snu się ułożyli, jeźdźcy i przewodnicy wielbłądów nocowali pod gołym niebem. Nasi podróżnicy mieli miejsce pod namiotem, a pierwszy ten nocleg na pustyni upłynął bez żadnej przygody. Robert, przebudziwszy się rano, rzekł do towarzyszy:



— Nie wiem, czy to ten Syryjczyk nabił mi głowę dziwném swoim opowiadaniem, ale mi się śnił Henryk i uważam to za dobre przeczucie.

Nazajutrz i dni następnych nie przytrafiło się nic nadzwyczajnego, karawana posuwała się zwolna, wypoczywała, odmawiano modlitwy, na noc rozkładano namioty, a rano następowało toż samo.

Niekiedy wśród nocy niezwykle odgłosy przebudzały naszych podróżników. Było to coś nakształt oddalonego gromu, lecz przysłuchując się uważniej, można było odróżnić ryk potężnego zwierza. Czasem odzywał się głos inny, jakby syczenie przeciągłe i ostre.

— Co to jest? — pytali nasi Francuzi.

— Nic nadzwyczajnego — odpowiadali obojętnie mieszkańcy Wschodu — to *pan wielkogłowy* schodzi ze stoków wzgórz Mokatamu; zapewne wytropił gazelę, albo może wziął się na wielkiego węża i rozdziera go strasznymi pazurami.

Podróż trwała już dni ośm, gdy pewnego rana dowódzca karawany zawołał:

— Suez! Suez!

Suez był oddawna ważną stacją handlową, z powodu szczęśliwego swojego położenia, przy zetknięciu dwóch lądów, ale od czasu przekopania kanału, miasto to jeszcze więcej się podniosło. Podróżnicy nasi widzieli z daleka roboty, będące już wówczas na ukończeniu, ale ponieważ karawana nie wypoczywała nawet w Suezie, nie mogli ich obejrzeć z bliska i wkrótce stracili z oczu budynki miejskie.

Długi szereg wielbłądów, jeźdźców i pieszych, ciągnął więc dalej przez piaski pustyni, zapuszczając się w te niezmierne przestrzenie, po których niegdyś przez lat czterdzieści błądził lud wybrany, pod wodzą Mojżesza.

Karawany pielgrzymów zatrzymują się na czas dłuższy w mieście Dżidda, tam też pozostają zazwyczaj podróżnicy europejscy, gdyż dalszy ich pochód pod opieką wiernych dzieci Proroka uważany jest za świętokradztwo.

— Strzeżcie się — rzekł kupiec syryjski do naszych przyjaciół. — Dotąd obecność wasza pośród gromady wiernych była dozwolona, ale nie wolno wam ani na krok dalej postąpić. Biada niewiernemu, któryby się odważył dotknąć niegodną nogą poświęconej ziemi przy kolebce lub grobie Proroka; byłby śmiercią ukarany.

— Przyjemna rzecz! — zawołał Robert — cóż my tu będziemy robili w tém nudném mieście, jeżeli nie możemy zwiedzić Mekki i Medyny.

-- Możecie oglądać miasto Dżiddę i okolice jego, oczekując powrotu karawany.

— Dziękuję — mruknął młodzieniec niezadowolony. Czytał on nieraz ciekawe opisy tych miejsc,

wslawionych tylu pamiątkami z życia Mahometa, pomników wystawionych tam na cześć jego i marzył o tém oddawna, aby to wszystko obejrzeć własnymi oczyma.

— Cóżbym dał za to — rzekł z westchnieniem — żebym mógł zobaczyć przynajmniej świętą Kaabę.

— A toż co znów takiego, ta święta Kaaba? — zapytał Marek zaciekawiony.

— Jest to dom dawniejszy od świata.

— Co też wypłacasz, Robercie!

— Ja wcale nie wypłacam, tylko powtarzam podanie mahometańskie. Świętą Kaabę budowali w niebie aniołowie. Gdy Pan Bóg stworzył Adama, spuszczone ją na ziemię; później była kolejno mieszkaniem patriarchy Abrahama i świątynią Pańską; wreszcie Mahomet ją odnowił i wciąż szczególną otoczył, teraz jest bardzo starannie utrzymana.

— Niemniej godną widzenia jest także studnia Zem-Zem — rzekł poważnie Syryjczyk.

— Czy i do niej jest także podanie jakie przywiązane? — zapytał Robert.

— Podanie dawne i święte — mówił kupiec. — Gdy Izmael, syn Abrahama i Agary, ojciec arabskiego ludu, konał ze znużenia i pragnienia na puszczy, ukazał mu się anioł, i źródło wody wytrysnęło w miejscu, gdzie dotąd znajduje się owa studnia Zem-Zem. Pielgrzymi mają ją w wielkiem poważaniu.

Podróżnicy nasi rozłączyli się z karawaną i znalazłszy sobie przewodnika, wyruszyli obejrzeć miasto, w którém jednak nie znaleźli nic osobliwego. Gdy już minęli ostatnie budynki miejskie, ujrzeni przed sobą cmentarz, starannie bardzo utrzymany i otoczony murem.

— Czy wiecie, kto tu spoczywa w tém cichém ustroniu? — zapytał ich przewodnik.

— Któż taki?

— Ewa, matka rodu ludzkiego.

— Podróżnicy obejrzeni z ciekawością grób, do którego mahometanie takie szczególne przywiązali podanie. Rozmiary jego są olbrzymie, ma bowiem około sześćdziesięciu metrów długości. Arabowie muszą mieć niepospolite wyobrażenie o wzroście matki ludzkiego rodu. Niewielki meczecik z kopułką białą wznosi się na tym grobowcu.

U mahometanów miejsce spoczynku ciał zmarłych nie wygląda tak ponuro, jak nasze cmentarze. W pewne dni, zwykle w piątki, które tam zastępują niedziele, krewni i przyjaciele zmarłych zwiedzają ich groby; nie po to jednak tam idą, aby się smucić i płakać. Cmentarz jest uważany na Wschodzie za jakiś rodzaj publicznej prze-



chadzki, nieraz bowiem wyprawiają się tam bardzo wesołe podwieczorki.

Kilku Nubijczyków sprzedawało kwiaty u wejścia na cmentarz; Robert kupił małą wiązanekę i poszedł ją złożyć na grobowcu Ewy. Jakób i Marek poszli za nim, wszyscy trzej przypatrywali się uważnie temu osobliwemu pomnikowi. Wtém Marek nagle zawołał:

— Patrzcie, patrzcie! tam na tym kamieniu są jakieś litery, jakby węglem pisane.

— Cóż tak dziwnego — odrzekł Jakób — muszą tu nieraz przechodnie rozpalać ogień pomiędzy grobowcami, a dzieci, bawiąc się węglem, porysowały znaki na białych kamieniach.

— A zkądżeby dzieci tutejsze znały nasze litery? — rzekł Marek.

— Co ty mówisz? nasze litery na tych kamieniach? — zawołał Robert i poskoczył z żywością do miejsca, które Marek wskazywał. Pochylił się, spojrzał uważnie i okrzyk wyrwał się z jego piersi:

— Czy to sen, czy złudzenie zmysłów! Tak, to są litery i wyrazy francuzkie! Patrzcie, przyjaciele.

I przeczytał głośno te słowa:

„Henryk Vertpré przechodził tędy”.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i radość trzech naszych przyjaciół. Robert nie mógł oczu oderwać od tego napisu, skreślonego ręką ukochanego przyjaciela.

— Henryk tu był na tém miejscu! — powtarzał ze wzruszeniem, odczytując napis. Ale po chwili znowu go ciężki smutek opanował.

— Biedny mój Henryk przechodził tędy — mówił, a więc już poszedł dalej! Gdzież on jest w téj chwili? Może gdzieś bardzo daleko, bo trudno odgadnąć, jak dawno to pisał i w którą stronę się udał.

Niepodobna było odpowiedzieć na te pytania.

— Wracajmy do miasta — rzekł Jakób — idźmy do konsula francuzkiego i prosimy go o pomoc. Niech każe przetrząść wszystkie domy, może gdzie natrafimy na ślad naszego przyjaciela.

Wyszli śpiesznie ze cmentarza, zmierzając do mieszkania konsula, gdy napotkali po drodze człowieka w nędznej odzieży, który wyciągnął rękę po jałmużnę, mówiąc:

— Panowie cudzoziemcy! W imię Allaha i Proroka, dajcie grosz biedakowi.

— Dziwna rzecz — mówił Marek — zdaje mi się, że ja już gdzieś ten głos słyszałem.

— Jakób potarł czoło, usiłując sobie przypomnieć, gdzie to było, bo i jemu się zdawało, że nie pierwszy raz spotyka tego żebraka.

— W imię Proroka, poratujcie biedaka! —

powtarzał nędzarz tym samym przeciągłym głosem.

— Aha! — zawołał Jakób — czy to nie ty czasem, bratku, podszedłeś do nas w porcie, w Tunisie.

— Tak, panie, to ja byłem — i kłaniając się nisko, mówił dalej. — Jeśliście mnie poznali, panowie cudzoziemcy, to przypominacie sobie zapewne, że was przestrzegałem wówczas, abyście nie wierzyli owemu marynarzowi, co to się podawał za handlarza koralu.

— To prawda — rzekł Robert.

— Młody wasz towarzysz obdarzył mnie jałmużną — mówił dalej żebrak — i z niezbadanej woli Allaha, on to padł ofiarą podstępnego rabusia morskiego. Ale Allah czuwa nad tymi, którzy mają dobre serce. Przyjacieli wasz nie mógł zatem długo pozostawać w rękach tego niegodziwca i jest już wolny.

— Zkądże ty to wiesz? — zapytał żywo Robert.

— Z woli Allaha dowiedziałem się o tém — mówił żebrak. — Przyszedłem tu z inną karawaną, która was wyprzedzała. Ja to w Kairze pytałem o was kupca syryjskiego.

— Jakto? więc to ty kazaleś nam powiedzieć, że przyjaciel nasz jest niedaleko?

— Tak, to ja.

— A gdzież on jest teraz?

— Poszedł do Mekki z gromadą wiernych, która tam wczoraj podążyła.

— Do Mekki? Ale tam tylko muzułmanom wejść wolno z pielgrzymami. Henryk przecież nie został wyznawcą Mahometa?

— Nie, ale uchodzi za wiernego syna Proroka.

Trzej przyjaciele spojrzeli na siebie z przerażeniem.

— O Boże! a gdyby podstęp się wydał? to śmiercią grozi.

— Tak, niezawodnie.

— I co tu robić, żeby go uratować w tak straszném niebezpieczeństwie?

Żebrak obejrzał się na wszystkie strony, zniżył głos, i rzekł krótko:

— Nic łatwiejszego, jeśli tylko chcecie.

— Jakimże sposobem?

— Za pomocą pierścienia, który ten młodzieniec ma na palcu.

Te słowa nową nadzieję wlały w serca naszych podróżników. Zapomnieli byli zupełnie o pierścieniu Kadura, w téj chwili dopiero stanęło im w pamięci to wszystko, co Tuareg mówił o wielkiej jego potędze na całym Wschodzie. Wszak powiedział, że pierścień mógł uratować nawet zuchwalca, któryby się wdarł bez pozwolenia do mieszkania suł-



tana; czemużby nie miał tak samo osłonić śmiałków w miejscach świętych?

Robert zapytał po chwili żebraka:

— Powiedz, co mam czynić?

— Iść za mną.

— Gdzie?

— Do Mekki.

— Do Mekki? — zawołał Jakób przerażony —

Robercie, zastanów się, chciałżebyś także dobrowolnie rzucać się w paszczę wilka?

— Z tym pierścieniem na palcu, młodzieniec może iść wszędzie bez obawy — rzekł żebrak.

— Henryk mógł się wmieszać bezkarnie pomiędzy pielgrzymów — mówił Jakób — bo go nikt nie znał. Ale Robert podróżował już z karawaną i wiedzą wszyscy, że jest Europejczykiem.

— To nic nie znaczy, byle miał pierścień na palcu, nic mu się złego nie stanie.

— Ileż czasu potrzeba na to, aby się dostać do Mekki i nazad powrócić? — pytał Jakób.

— Kilka dni wystarczy.

— Ale cóż my tu z Markiem przez ten czas pocniemy? — mówił znów stary majtek.

— Mój drogi Jakóbie — rzekł Robert — to rzecz najmniejsza. Są tu w mieście gospody urządzone na sposób europejski. Jedną taką widzieliśmy w pobliżu portu. Będzie wam tam dobrze i wygodnie, a ja wrócę za dni kilka i Henryka przyprowadzę z sobą.

Jakób wahał się jeszcze.

— Nie dziwię się wcale tej obawie — rzekł żebrak — trudno zapomnieć tak prędko o tém, co się wam przytrafiło w Tunisie. Ale nie każdy muzułmanin jest zdrajcą. Jabym się prędkiej dał zabić, niżbym pozwolił skrzywdzić tego młodzieńca. Zaufajcie mi tylko; a ty, młody panie, idź śmiało ze mną do Mekki, nie pożałujesz tego z pewnością. (D. c. n.).

## S Z A R A D A.

Piąte i pierwsze: to angielskie piwo  
Można go wypić kufel jeden, drugi,  
Lecz dalej basta — by niechodźć krzywo —

Druga i trzecia: rzeka z pod Kaługi —

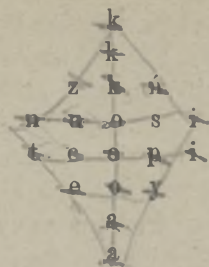
Drugie i czwarte, zowią wiersz liryczny —

Śród wielu tego rodzaju twórczości,  
Z pięknych piękniejszy, ze ślicznych przesliczny,  
'Twór Mickiewicza: a to, do młodości —

Wszystko wraz imię nadane kobiecie —

Pomyślcie trochę, może odgadniecie.

## Łamigłówka głoskowa.



Z tych rozsypanych liter ułożyć znane przysłowie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

### Szarady:

Ba — to — ry.

## Łamigłówki głoskowej:

Czapkę, papkę i solą, ludzie ludzi niewolą.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Karolinie S. w Warszawie. Wielką nam sprawił przyjemność liścik stałej naszej korespondentki; bardzo wdzięczni jesteśmy, że o nas nie zapomniała przy tylu pilnych zajęciach. Radzibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o odbytych latem podróży i o ciekawych rzeczach, widzianych zagranicą. Dobrze, że już Święta za pasem, więc nastąpi przerwa w lekcjach i będzie więcej czasu na pisanie. Zagadka trafnie odgadnięta.

Morysiowi K. Rozwiązanie szarady bardzo dobre. Liścik starannie napisany, ale zanadto króciutki, a my właśnie dłuższe bardzo lubimy.

Martyni C. Bylibyśmy już dawno odesłali żądane Nra Pisma, ale w liściku braknie najważniejszej rzeczy — adresu! Gdyby przynajmniej nazwisko było wypisane, możeby się w książce znalazło, ale na literę C. tytu jest prenumeratorów, że niepodobna pomiędzy nimi odszukać Martyni. Nra są zapisane i jak tylko adres odbierzemy, wyślemy je natychmiast. Cieszymy się, że książeczka Katarzyna tak się podobała czytelnikom Wieczorów. Co do młodych podróżników naokoło świata, obawa daremna; mają jeszcze dużo krajów do zwiedzenia i nie mogą tak prędko ukończyć swojej wędrówki.

Oleśiowi D. w Wilnie. W następnym Nrze Pisma podamy nowe wzory łamigłówek i prosimy kochanych prenumeratorów, żeby układali podobne, bo nie możemy podawać zawsze jednakowych. Nadesłana zagadka będzie drukowana, bo nie idzie nam o to, aby wszystkie łamigłówki ustawicznie się zmieniały, tylko żeby do dawnych rodzajów dodawać coraz nowe.